N^er 17.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 12 sierpnia 1843. Rok czwarty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301., we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 15 lipca 1843.

Zdawanie sprawy o modach stanie się niezadługo trudniejszem jak uczone rozprawy. Dzienniki skarżą się powszechnie, iż w modniarstwie powstała teraz wieża Babel, to jest pomieszanie tak różnowzore i zawikłane, że nic trudniejszego jak chwycić rysy ogólne, któreby znamionowały tę gmatwaninę. Jeżeli są jeszcze jakie cechy dzisiejszą modę różniące, to chyba tylko dowolność, która u kobiet w ogólności, a szczególniej w modzie zowie się kaprysem. Tak niezawodnie jest piękne panie! Która z was kolwiek na przyszłość zechce być modnie ubraną i elegantką, musi być kapryśną. Kaprys przechodzi w sztukę, by martwe masy ożywiać. Piękności ziemskie umiały przecież raz znaleść właściwe miejsce tej nieoddzielnej cząsteczce ducha swojego, dotychczas naganianej i wytykanej jak błąd. Jakby Prometeuszki wieku dziewietnastego wyniosły one od jakichciś tam duchów, nie wiem z którego już świata, błędny ogniczek kaprysów i oświeciły nim wyroby jedwabne, bawełniane, niciane a nawet i włosienne znane pod mnóstwem nazwisk: korunek, grodenaplów, gaz, muślinków, kryspinek, szalików, kardynałek, toczków, czypeczków itd. wszystkoto w celu moralnym, ażeby panowanie ducha rozszerzyć i aby na przyszłość każdy strój, każdy krój, każda falbanka, każde złożenie kolorów, każda spodnica, każdy staniczek, każdy rękaw, każde upięcie, każda równianka, jednem słowem każdy szew nawet miały swoją duszę. Odtąd elegantka ma już dusz dwoje: jedną w sobie, drugą na sobie, duszę ciała swojego i duszę swej sukni. Zatem też idzie przewaga kobiet nad mężczyznami i emancypacia ich jest niedaleka. Jeżeli kaprysów nie z nieba zarwały kobiety a może nawet znad brzegów rzek smolnych i siarczanych, zawszeto będzie zasługą, że ich umiały użyć tak dobrze na okazanie i podniesienie piękności. Wydzierać szatanom nawet bogactwa duchowe, ażeby w pożytek obrócić to co w ich ręku leżało skrzywione, nieużyte, lub zle użyte jest zawsze dziełem anielskiem. W ten sposób błędy stają się przymiotami i cnotami a szpetność pięknością. Od kiedy zrozumiano prawdziwe przeznaczenie kaprysów nie będzie już złej figury, ani płci grubej, ani twarzy bladej, ani policzków ponsem rażących, ani nawet niezgrabności. Kaprysy przestały już być naganą, a mąż użalający się na żonę kapryśną chwali ją. Dla kaprysów liczne prasy drukarskie są dzisiaj w ruchu; miliony fabrykantów i szwaczek poruszają korbami i igiełkami; tysiące pisarzy maczają pióra i czernią stosy papierów, bo kaprys stał się nieoddzielnym od mody i najmodniejszym. Na co w przódy z szyderskiem pozierano wejrzeniem, to naśladują teraz najpierwsze modniarki paryskie dla elegantek najprzyzwoitszych. Kapelusik a la gryzetka, staniczek a la żołnierka, trzewiczek a la statystka, jednem słowem strój cały i układ a la loretka; oto są żądania mody ostatniej. Zaciera się powoli różnica w ubiorze stanu i zatrudnień. Wszystkie panie wyglądają teraz jak strojnice. Nie wątpimy że i nasze piękności pójdą za tym przykładem stolicy dobrego gustu, zwłaszcza że tu chodzi tylko o naturalność i o pozbycie się żenujących, jak ciasny gorset, pozorów niewinności i zle zrozumianej cnoty. Potrzebne jest przebranie ogólne bez masek na twarzy. Ubierzmy się wszystkie tak jakbyśmy wychodziły z domu umówionych schadzek, a nie będzie posądzenia na żadnej. Tym tylko krzywda się stanie, które chciały być poznane i posądzane, gdyż odbieracie im piórka a może i więcej.

Sądzę że czytelniczki nasze przebaczą, jeżeli niewejdziemy tą razą w szczegóły mody, wszakże daliśmy im natomiast jej teorią, jako, daj boże, pożyteczny obrok duchowny i podobno w tem miejscu całkiem niespodziewany.

Rycina przedstawia: suknię z bareżu, u której spodnica w drobne zakładki. Stanik wysoki bez szpica, równie z zakładkami rękawy podwójne, kapelusz ryżowy, wstążkami ubrany. Druga suknia grodetorowa, z przodu otwarta, korunkami ozdobiona, stanik półwysoki, równie korunkami ozdobiony; rękawy półszerokie krótkie, zpod których wychodzą rękawy w bufki; kapelusz jedwabny z piórem.

Stroje męskie. Rycina dzisiejsza przedstawia: twinę o jednym rzędzie guzików; kamizelka szkocka; spodnie w paski, i kamaszki, tudzież liberia i ubiór dla czteroletniego chłopca.

Wieśniak podolski.

Polski wieśniak nie najlepszej używa reputacii, co się tyczy wykształcenia umysłowego, a pomiędzy wieśniakami, podług wielu zdania, najniższe zajmuje miejsce wieśniak podolski. Zdanie to jest pozorne zapewne; jakoż w samej rzeczy czy go zdybiesz w dzień powszedni przy pańszczyźnie, czyli też w dzień świąteczny przy kieliszku, ledwie go zdołasz w prowadzić w rozmowę, a i w tej nie wiele dowiesz się od niego. Ciasne granice wiedzy jego ledwie dochodzą do rachunku tygodniowej pańszczyzny, lub do ważniejszego w karczmie o wypitą wódkę; a i w tych ileż razy oszukany przez ekonoma, jeszcze częściej przez arędarza krydkę podwójną, darmo skrobie się w głowę; czuje oszukaństwo, ale je zrozumieć nie potrafi. Oświata powoli bardzo wciska się do lepianek wiejskich; nie mojem jest zadaniem wyszukiwać przyczyny tego, zdaje mi się tylko, co powiem w przelocie, że różnicę oświaty u wieśniaków robi po większej części przemysł i handel; różnicy zaś tej ktoż nie dostrzeże naprzykład między podolaninem a góralem. Podole ograniczone na handlu zbożowym, i to handlu zupełnie domowym, nie daje mu sposobności obeznania się ze światem, otarcia się o drugich oświeceńszych ludzi: wieśniak z przeznaczenia swego praktycznemu oddany życiu, nie prędko potrzebę teorii zrozumie. Małomowny w domu, bo też i czasu na rozmowę brakuje tam gdzie tydzień cały podzielony na robotę dla pana, xiędza, dla mandateriusza, dla ekonoma; a tu szarwarek, i dla siebie trzeba pole obrobić i zasiać; a w niedzielę ledwie służby bożej wysłuchał, jużciż się i upił, bo wódka jest koniecznym jego żywiołem: ona mu się sama wszędzie nastręcza, ona zapomnieniem tygodnia minionego, rzuca cień pociechy na tydzień który przyjdzie. Mowniejszym widzimy go na jarmarku, gdzie potrzeba soli i pieniędzy na podatek, uczy go ważniejszych spekulacij handlowych; na jarmarku z prosiakiem w worku, albo byczkiem przy ręku, jaśniej się już cieniuje charakter i umysł wieśniaka podolskiego, najjaśniej zaś i najdobitniej w drodze: czyli to rusza z pańskim transportem do odleglejszego miasteczka; czyli też mu się zdarzy ta miła dla niego gratyska, że się z kim najmie. W drodze mu najswobodniej; liczne po drodze przy karczmach przestanki, są to najpiękniejsze życia jego epizody; tam on rozmawia, tam żyje, tam go dopiero poznać można. Skryty zawsze, bo od dzieciństwa do tego przyzwyczajony, bo skrytość jest jego rozumem i bronią razem; mniej otwarty od górala, którego żywości przyczyn szukać może trzeba w czystem powietrzu, co mu piersi do wesołego krzyku rozpiera; zamknięty sam w sobie, bo sam sobie wystarczyć musi; smutny i milczący smutkiem a milczeniem stepów, które go od kolebki otaczają, zdaje się być powleczony nieprzebitą skorupą głupoty; lecz schwytany w chwili lepszej, w chwili nie wegetacii ale życia, wystrzeli nieraz iskrą rozumowania, które zwykle chowa się u niego, otulone jakby siedmioskórną Achilesa zbroją, tą posępną skrytością, która po większej części jest rzeczewiście rozumem, bo jest chytrością.... Zapomniawszy się rozpisałem się, jakbym ku uczonej dążył rozprawie, gdy tymczasem chciałem tylko opowiedzieć zdarzenie; trzeba mi przebaczyć, bo rozumowanie było moje, zdarzenie zaś cudze, bo się stało istotnie, a ktoż częściej, dłużej i czulej pieści się własnem dzieckiem jeżeli nie piszący!...

Byłoto w październiku; wiatr północnozachodni, ten kilko miesięczny gość Podola, ciągnął sobie swobodnie od Archangelu zapewne; żadnym gór pasmem niewstrzymany bujał wolny po grzbiecie Europy, którem to nazwiskiem jeden z uczonych Podole nasze ochrzcił łaskawie; bujał ponad gołe, czarne i smutne parowy podolskie, wszelką bowiem z nich wesołość zdarły i wciągnęły w siebie rozległe gumna okoliczne: a huczał jednostajnym i znudzonym głosem samotnego stepów dziedzica; nie zaszumiał nawet w borów i gajów klawisze, bo goło wszędzie jakby na dłoni.... Drogą wiodącą ze Zbaraża do Tarnopola ciągnął się leniwie wóz prosty nie wykwintnej podolskiej formy; gołe i suche ziobra dwoch drabin bocznych łączyło wiązanie słomiane, o które nienaj-

wygodniej oparty jechał podróżnik jakiś na mierzwiastej, niczem nie zasłanej, słomie usadowiony. Wyżej od niego, bo i worek plewy, tej postnej potrawki końskiej, i drugi najważniejszy w drodze worek, bo do prędkich a częstych popasów przeznaczony wpakował pod siebie; siedział woźnica; wóz zaś ciągnęły dwa konie podolskie. Gdyby konie pisać umiały, a zechciały, stosując się do gustu teraźniejszego, jak Francuzi i Anglicy sami siebie opisywać, wówczas dopiero poznalibyśmy coto za ciekawy jest typ koń podolski! bo trzeba być koniecznie koniem podolskim, tym konikiem chudym, małym i nędznym, pasierbem rodu końskiego, tem *petit rousząj*, jak go jeden uczony Francuz wojażujący po naszej ojczyźnie nazwał, by pojąć, i należycie oddać tak fizyczne onego ułożenie, jakoteż moralne usposobienie, ten chód, który nie jest zapewne staniem na miejscu, bo jużciż się jedzie, ale jest ani kłusem ani stępem nawet... lecz nie obmawiajmy!... Trzebaby wejść w tajemnice pustych żłobów, przed któremi darmo stoją, ze zwieszonemi łbami; wejrzyć w dnie pracy, a noce przepędzone przy świetle xiężyca na chudem, kradzionem pastwisku; zaglądnąć w ilość soków żywotnych zawartych w zdradliwej plewie.... Dosyć na tem że najchudsze i najnędzniejsze może z koni podolskich były owe dwa: myszaty z parszywym bokiem, i skarogniady z najeżonym włosem, po którym woźnica kapryśne biczem wypisywał arabeski, a krzycząc bez ustanku wio kary! wiśta myszaty! macha biczem jakby los nieubłagany na oślep; czy w myszatę czy w karę uderzył skórę, czy cienkim biczykiem powietrze przecinając, świstem wtorował hukowi wiatru, to mu zarówno; dosyć że rzuca się zawzięcie po siedzeniu swojem, przegina, podnosi, postronkami, lejców rolę grającemi, trzepie i targa bez odetchnienia. O gdyby te ruchy wszystkie, niezbyt konieczne, zdołał wlać w nogi swoich koni, prędzejby stanął u celu podróży!...

Kto był podróżnikiem trudno odgadnąć; różnorodne łachmany sukienne, duchem, ba cieniem byłego niegdyś sieraczkowego płaszcza obwiane, nie noszą na sobie żadnej odrębnej cechy, prócz cechy ubóstwa i nieporządku, a nawet wątpić można, azali zle załatanemi bokami wiele zasłaniać mogły od natarczywości wiatru. Woźnica byłto oczywiście wieśniak podolski; drwił on z wiatru, który darmo walczył z baranim kożuchem, okrytym po wierzchu sukienną opończą; mści się jak może na białych kudłach baranich u wystającego kołnierza, i na kapturze z opończy, który mu się opiera całą wagą upakowanego weń bochenka olbrzymiego. Twarzy nie zajrzeć, głowa bowiem woźnicy utonęła w olbrzymiej baranowej czarnej czapce, której rodzaj widzialny tylko na jarmarkach podolskich; i twarz podróżnego zakryła zawistna chustka osłaniająca jakieś zranienie zapewne.

Jadą pogrążeni w milczeniu, choć czasu nie braknie im do rozmowy, albowiem wleką się nielitościwie; na domiar nieszczęścia deszczyk jesienny, ów deszczyk który jakby elektrycznemi iskrami przenika aż do kości, deszczyk, który niewiem dla czego w wielu miejscach kapuśniaczkiem nazywają, znalazł potrzebę wylać się z niebieskich stropów, a wiatrem pędzony śmigał jakby rózgami w oczy podróżujących. Wnet czarna ziemia podolska oślizła, a koniki niekute więcej się na szerz ślizgali, niżeli na wzdłuż postępowali.

Minęli wioskę, a za wioską stała karczemka, tak mile z wdziękiem ku drodze pochylona, jakby witać chciała przejeżdżających; ktożby zgadł to, że ją wiek i liczne nieleczone defekta ku ziemi skłoniły? wieśniak nie zdawał się zważać na nią, machał biczem dalej, nawet myszatego, który widocznie folgował, biczyskiem szturkał koło ogona, lecz (o władzo przyzwyczajenia! nie darmo cię drugą naturą nazywają) konie jakby czarem przykute stanęły przed karczmą. Uśmiech ledwie dostrzeżony przeleciał przez usta woźnicy, uśmiech wzbudzony zapewne rozumnym instynktem koni; ziewnął chłop, podniósł czapkę, czuprynę podrapał, biczem świsnął w górę, to znowu po śliskim klasnął błocie. Niewzruszony na te ruchy, i nieruchomy pozostał podróżny, oko tylko jedno nieobwiązane z pod wiszącego u czapki daszka rzuciło spojrzenie długie, przeciągłe, naprzód wydane jakby w dali śledził czego. Jaka sprzeczność! wieśniak tymczasem spogląda w bok ku pochylonej karczmie, a konięta w dół w ziemię!... I wcisnął woźnica czapkę jeszcze niżej na oczy; bicz zaspiewał smutny dla koni himn odjazdu; darmo im było oglądać się na wsze boki; musiały ruszać dalej chociaż mniej jeszcze sporym krokiem.... Działo się to o pół mili od Zbaraża...

Jadą i jadą; wiatr wieje, deszczyk cieknie bez ustanku, a podróżni ludzie i konie jak milczą tak milczą. Są już w połowie drogi do Tarnopola, a na czarnym stepie uśmiechają się, jakby trzy oczy, trzy karczmy; choć spojrzały w bok, minęły konie jedną karczmę i drugę, a przy trzeciej stanęły jak wryte. Powtórzył chłop wszystkie ruchy poprzednie, lecz więcej się już w nich cieniowała cierpliwość; zlazł nareszcie z siedzenia swego, obejrzał konie, pogłaskał, przeszedł się koło woza, ukradkowych spojrzeń parę rzucił ku nieruchomemu podróżnikowi, a których u-

ważny postrzegacz ujrzałby wyraz zadziwienia i pogardy razem: stanął znowu, a w chwili gdy mu się zdawało, że oko podróżnego w bok się zwróciło, strząsł się potężnie jakby nim febra rzucała; snać zimno dokucza. W wozie milczenie ponure!... zwrócił się więc woźnica ku karczemce, pozdrowił ją okiem napoły tęsknem, napoły przyjacielskiem. Aż tu o pokuso! wybiegł żydek z karczmy, a za nim brudna żydówka, a za nią żyd w podartym kaftanie. Jak się macie Iwane! zagadł głosem syreny; a za żydem woń kartoflanej wódki wybuchła z zadymionej izby.

Iwan mruknął jakąś odpowiedź, żywszym ruchem zgniótł czapkę nad głową, i poczwałował biczem po powietrzu, bo koni zdawał się oszczędzać tą razą. Podróżny milczał uporczywie jakby mu język czarownice zaklęły.

I znowu wieś, a we wsi murowana błyszczy karczma, dumnie wznosi się na pagórku obok parafialnego kościoła; piękna to karczma a ostatnia już przed Tarnopolem. Stanęły konie po raz trzeci, i po raz trzeci powtórzyły się daremne woźnicy ruchy, do których dodał tą razą huczne walenie rąk o ramiona dla ogrzania się zapewne; z pełną pogardą spojrzał na milczącego, gniewnym ruchem zerwał się ze swego siedzenia, plewy nasypał do worka, zarzucił koniom u dyszla. Już się nawet nie zwracał do pięknej murowanej karczmy, stał tylko nieruchomy a myślał zapewne nie mało, bo się kikakrotnie poskrobał w ogoloną czupryne. Chyba niemy jest podróżny, milczy bowiem, a patrzy jednem okiem przed siebie, tak uparcie, tak zawzięcie, jakby w szczęście patrzył.

Po długiej chwili siadł Iwan, i podpasionemi nieco końmi ruszył leniwie. Już też zpoza zasłony deszczowej okazały się wieże miasta, zabłysnął staw zdala: to Tarnopol! już są przed nim, już mijają lepione przedmiejskie chaty.

— Potężnym głosem prr! zawołał Iwan; konie stanęły, a nasz woźnica zwróciwszy się do podróżnego przerwał po raz pierwszy długie to milczenie.... No! jesteśmy już teraz w Tarnopolu, zapłaćcie mi!

— Jak to? naciągniętym głosem zabrzmiała odpowiedź.

— Zgodziliście się ze mną w Zbarażu za trzy cwancygiery, żebym was zawiózł do Tarnopola.

— Dobrze! dobrze! jedź do miasta.

— Zapłaćcie mi naprzód. Tu spojrzeli po sobie; wzrok uporu zdybał się ze wzrokiem pomieszania.

— Ja chcę zapłacić, ale musisz mnie zawieść do miasta; tam biegnę do półkownika, bo u niego jest kucharzem mój kolega; od niego wezmę i zapłacę.

— A jak nie przyjdziecie? ja będę czekać i darmo czas stracę.

— To pójdziesz ze mną razem.

— Aha! a tymczasem chudobę mi ukradną. To rzekłszy przesadził Iwan nogi przez wór plewy, i bez dalszej rozmowy usadowił się koło podróżnego; zwrócił lejcami, zaciął konie, i lepszym od zwyczajnego kłusem pociągnął nazad ku Zbarażowi. Próżne były przedstawienia, prózby, gniewy, przeklinania podróżnego; głuchy na nie Iwan, walił biczem, i w i ś t a k a r y! h a j t a m y s z a t y! pędził dalej, a dalej.

Tu podobno wspomnieć wypada że do zagmatwania tej sprawy niepomału przykładało się i to także, że Iwan po większej części nie rozumiał przemowy podróżnego, złożonej z ułamków języka niemieckiego i polskiego, przeplatanej przekleństwami pięknie brzmiącemi języka Madźiarów. A ponieważ mimo niezwyczajnego pospiechu konięta podolskie dosyć leniwie postępują, nim się do Zbaraża dobije, nie od rzeczy będzie powiedzieć o koledze pułkownikowskiego kucharza z obwiązanym okiem. Jakkolwiek przed kuchnią węgierską każdy gastronom, jak szatan przed wodą święconą umyka, niemożna przemilczeć, że nasz podróżny był Węgier i kucharz razem; z tem łączył trzecią jeszcze własność, że się napijać lubiał; papryka! i wódka! to cudowne połączenie! Co by niebyło, sługiwał on tu i owdzie, warzył jak umiał, a pił, ile tylko mógł, aż wreszcie dostał się do panka jednego, który za złe kotlety; (a przez omyłkę miejsce octu zastępowała w nich gorzałka) tak zawzięcie kijem go obtraktował, iż mu aż głowę nadwyrężył: wypędził potym *in statu quo,* to jest w owym płaszczowym wizerunku, bez grosza, bo nasz kopcidym nie miał zwyczaju składać pieniędzy. Obwinąwszy zatym jak najstaranniej *corpus delicti* szukał prostoduszny Węgier komitatu i sztulrichterów w najbliższy miasteczku. Odczarowany w tym względzie pobity kucharz, posłuchawszy rady cudzej, udał się pod opiekę naszego Iwana do Tarnopola, pełen różanej nadziei że tam znajdzie wynagrodzenie za krzywdy swoje, a razem dostanie sukurs jaki od kolegi kucharza. Co się z nim działo w czasie przymuszonego powrotu do Zbaraża łatwiej pojąć niżeli słowami oddać.

Darmo wiatr huczy z tyłu, kaptur na głowę zarzuca, kapuśniaczek leje a leje; darmo śmieją się karczmy ku niemu; syreni głos żyda dolatuje, woń gorzałki w nos mu się wciska; goni Iwan aż para bucha z biednych koników: i nie zatrzymał się aż stanęli w miasteczku Zbarażu, gdzie wypuściwszy z pod opieki podróżnego, zostawił zdziwionego i zgłupia-

łego Węgra na środku rynku, a sam pogonił ku domowi....

W kilka dni potym stanęły obydwie strony przed sądem magistratualnym; sędzia nieszczędził pracy i mozoły by się prawdy dowiedzieć.

— Oskarzyciel powtarzał bez końca. Jak to być może, że ja jestem w Zbarażu? ja powinienem być w Tarnopolu, i byłem już tam moi panowie! byłem już tam, a ten hultaj przeklęty odwiózł mnie nazad.

— Sędzia skarcił surowo oskarzyciela za używanie słów nieprzyzwoitych.

Nie zważając na to zacięty Węgier wrzeszczał dalej. Za karę niech mnie znowu zawiezie do Tarnopola; ja już tam był!... mnie tam potrzeba!...

Przyszła kolej na Iwana; ten indukował sprawę swoją w ten sposób, że nie będąc zapłaconym za drogę do Tarnopola, odwiózł go nazad na miejsce zkąd się był najął. Wy mnie za mój czas stracony powinniście nagrodzić. Zakończył zaś Iwan swoją obronę i skargę razem sylogizmem którego już był użył naprzeciw kucharza, że iść za nim do półkownika nie mógł, by nie stracić chudoby, a czekać na niepewny powrót nie był obowiązany.

—Ależ jabym był ci zapłacił!...

—Tak! zapłacilibyście wykrzyknął Iwan; a przed pierwszą karczmą gdyśmy stanęli, siedzieliście sobie jak pan, ani człowiekowi wódki nie kupili jak to bywa zwyczajem, ani sami się nie napili; już ja wtenczas miarkował że złe.

Nic nie odpowiedział Węgier, westchnął tylko czy za Tarnopolem który mu się tak wyśliznął, czy za wódką, której sam byłby się dusznie napił przy każdej z owych karczemek.

— Ba stanąłem przed drugą karczmą, przed drugą karczmą Zylbermana; jasny pan musi go znać, doskonałą ma wódkę! i zimno było człowiekowi aż się trząsł, a oni sobie siedzieli i nie pomyśleli nawet że człowiek nie pies, że mu się wódka należy na taką słotę. Podumałem sobie wtenczas że niepewne moje pieniądze.... No ale cóż robić! stanąłem koło murowanki; człowiek zmarzł aż ręce pograbieli, i konie trzeba było podpaść: choć za kopijkę wódki, to i żyd kupi, nawet nasz arędarz Szloma nie żałuje jak go wiozę do Tarnopola. I tak stracili oni u mnie wiarę, i jak mnie nie zapłacili przed miastem, powróciłem nazad; teraz niech go diabeł wiezie sobie do Tarnopola; ja nie głupi, ja ich nie powiozę.

Rozumowanie było nie złe jak na wieśniaka podolskiego; a jaki sąd wypadł, nie opowiem państwu, bo gdy się oskarzyciel i oskarzony zaczęli lżyć i z ruska i z węgierska, obrażeni sędziowie przestali mozolić się nad trudnym wyrokiem, i obydwoch kazali wypchać za drzwi. *Bolesta.*

Z dramatu Dominika Magnuszewskiego

pod napisem

ROZBÓJNIK SALONOWY.*)

Scena 2 aktu 1.

Salon hrabiny, stolik wista przy którym zajęci grą minister, wuj obecnego młodego Brunona, i kilku starszych graczy; hrabina z baronową w wieku, chodzą wzdłuż salonu; Aniela na kanapie; Bruno niezdala w fotelu rozrzucony, z cygarem w ustach, koło kominka na którym ogień; ciągłe szepty między chodzącemi Hrabiną i Baronową. Aniela zumyślona stuka białą rączką w takt po stoliku.

MINISTER.

A neuf nie atutować, to rzecz niesłychana.

PARTNER JEGO.

Król drugi.

MINISTER.

Invit z króla, i przy nas wygrana.

PRZECIWNIK WISTOWY.

Bał się, grając z ministrem, ryzykować króla.

Śmiech i rozdają karty.

BARONOWA *do hrabiny, chodząc po salonie.*

Jego szczęście wyjedna tylko twoja wola.

HRABINA.

Mylisz się Baronowo, ja z chęcią Anieli
Dawnośmy się i w zdaniach i w celu minęli,
Kocham ją jak mą córkę, z jej majątku żyję,
Mój wpływ żaden, podobno i usta niczyje
Nie sproszą woli innej, prócz jej własnej woli.

BARONOWA.

Lecz przynajmniej oświadczyć hrabina pozwoli,
Bruno tak kocha....

Ich rozmowa ginie w oddaleniu.

BRUNO *zrywa się z fotelu i idzie do Anieli.*

Wie pani, jak dawno
Patrzę na takt jej rączek i rozbudzam w głowie
Pieśń, co pani wybierasz.

ANIELA *wesoło.*

I zgadł pan?

BRUNO.

W połowie
Zda mi się, że pojąłem, ale myśl zabawną
Przywiązałem do chęci zgadnięcia tej pieśni,
O czem może jej piękna główka ani nie śni.

ANIELA.

Więc to niby z zagadki, znów dla mnie zagadka.

BRUNO *czulej i ciszej.*

Lecz całej otwartości.....

---

*) Pierwszą senę tego dramatu umieściliśmy w trzecim numerze dziennika mód z r. 1841. p. w.

ANIELA *odsuwając się i głośniej.*

Albożto rzecz rzadka
Otwartość, aby o nią upraszać tak wiele.

BRUNO *urażony sarkając.*

My się znamy jak ciężko o tę bagatelę,
której pragniemy mało, a cenimy wiele,
Albo pragniemy wiele, a cenimy mało,
Chyba, gdyby z korzyścią to nam wypadało.

ANIELA *patrząc mu mocno w oczy.*

Więc lepiej nie poruszać takiej bagateli.

BRUNO.

Ha! coż kiedy się człowiek raz na to ośmieli....

Aniela żywo wstała z kanapy, wchodzi August w drzwi środkowe, ona korzysta z tego, i wymyka się ku stolikowi wista. Bruno wraca do fotelu. August po ukłonie hrabinie, staje pod kominkiem smutny, nieśmiały.

ANIELA *wracając od stolika wista do Augusta.*

Znow panu zimno, zawsze mu ognia potrzeba?

AUGUST.

O, zawsze! ja tak żądny by choć promyk z nieba
Lub z oczu dobrych ludzi zaświecił mi w drodze,
Bo biada mojej głowie, biada mojej nodze,
Gdyby się zabłąkały jaką wróżbą, chwilką,
I wzięły to w serdeczność, co grzecznością tylko.
A pani tak jest grzeczną!

ANIELA *z przymówką.*

Grzeczną! i pan grzeczny,
I o swą głowę, nóżkę, niezmiernie bezpieczny,
Bo ręczę, że się jedno nie zbłąka i drugie,
Gdy z taką dumą będą pełnić swą posługę.

AUGUST.

O, pani! jedną tylko, jedną dumę moją
Porachuj na karb cnoty. To me całe mienie,
Mój skarb; przy dumie biedni jak przy sterze stoją
I śmiało na światowe wpływają przestrzenie.
Dumny'm? ja'm dla tej dumy lat dwadzieścia pracy,
I bój dwudziestoletni przebył z nędzą, z głodem,
I z zachceniami serca, i z mym wiekiem młodym,
A żem wywalczył dumę, to grosz mojej płacy,
Za lat tyle, chwil tyle...

ANIELA *poruszona.*

To też więcej w siebie
Ufaćby należało!

AUGUST.

Gdyby to chodziło,
O mnie, o mnie samego. O! jak bóg na niebie,
Dzisiajby się między mną i światem skończyło.
Tego grzecznisia w szparkie zacisnąłby kleszcze,
W salonie, w balu, w uczcie, na bruku ulicy,
Spytałbym go, gdzie miejsce, gdzie miejsce co jeszcze
Nie zdobyte lub głową, lub pracą źrenicy?
Pokaż! — to miejsce moje, ja go dziś zdobędę.
Ale kiedy z mem sercem wespół myśleć siędę,
O! to nie pytaj pani co za strach odgania
I chwilę zwycięzenia, i chwilę wyzwania!
Bo może zbytnio żądam, może, ktoż to zgadnie?
Moje słowo kamieniem na czyjąś pierś padnie?
Gdy ja na nią rachuję, że jak śnieg co pruszy
Komuś dopadnie w czucie, i rozpłynie w duszy.
Spodziewam! — o! spodziewać nawykli co znali
Nieszczęście, którym jednak błyska promyk w dali:
To przypomnienie chwili z wczoraj, chwili błogiej
Co im wielką nadzieją rzuciła pod nogi,
To jakiegoś wieczora, w którym serce grało
Na wszystkich strunach myśli, i coś wygadało
Tak, tak bardzo lubego, że przyszła myśl płocha,
Iż gdy to co ja kocham, i ona to kocha........
— Nie, niesłuchaj mnie pani!..

ogląda się

Gdyby kto posłyszał,
Gdyby oni...

wskazując na grających i chodzących.

To śmiechem ten salonby dyszał.
Z kamieniem w ręku za mną gnaliby zjajani,
A z nimi wespół, nawet może...

ANIELA *drżąc.*

Kto?

AUGUST.

Ty pani!

Aniela rzuciła sobą, widać chęć odpowiedzi, wahanie, nagle zwraca się i siada na kanapę; August pozostał milczący.

BARONOWA

przechadzając się z hrabiną, podchodzi do fotelu Brunona i pyta.

Jakże? czyście mówili?

BRUNO *rozparty, poprawiając cygaro*

Tak!..... niby..... bąknąłem....
Troszkeśmy się strachnęli, wpół obiegli salę,
Robim alarm fałszywy; ja, w miejscu stanąłem,
Do nogi broń! i czekam; ale —

BARONOWA.

Zaraz ale.
Jakie'ś dziecko! wy chcecie, by sobą niewładać,
Tylko w ten moment: dobrze!

BRUNO *z ironią.*

Ho! nie; prace zadać,
Herkulesowe prace, naprzykład: bić czołem,
Albo wdzięków i cnoty zostać apostołem,
Latać jak kot z pęcherzem aże do wesela,
Z dywizą: »Niema w świecie jak moja Aniela!«

BARONOWA.

Jam te rzeczy przebyła, a przecież na nowo
Gdyby ktoś o mą rękę prosił, daję słowo,
Nawet gdybyś ty prosił, to nie bez wahania!...

BRUNO *zrywając się.*

Czy tak?... proszę o rękę!... do pocałowania.

BARONOWA *śmiejąc z hrabiną.*

Doskonały ten Bruno!

ANIELA *zbliżając się do nich.*

Jaki dowcip nowy?

BRUNO *poprawiając się w zwierciadle.*

Stary, ze starej rzeczy, bo to z baronowej...

BARONOWA *śmiejąc.*

Jaki lampart! no proszę czy to kochać warto,
Tego trzpiota?

BRUNO.

Dlaczego? że z myślą otwarto
Nie waham się jak młodzik... że niepowiem który,

ruszaniem głowy wskazując na Augusta.

ANIELA *śmiejąc niby.*

A może ten ktoś, śmielszej niżli pan natury.

BRUNO.

Doprawdy? widzieć warto, wnet zrobimy probę,
A że pani tak trzymasz, zatem, jej osobę
Weźmiem na cel tej prawdy, bo jak bóg na niebie
Nikt was tak dobrze niezna, jak wy same siebie.
Zatem naprzód, ja moje o niej zdanie powiem,
I w oczy: żebym się tak miłem cieszył zdrowiem,
Jak pani jesteś piękna, tak równie zalotna.

ANIELA *śmiejąc.*

Proszę!!

BRUNO.

Jak główka mądra, tak troszkę przewrotna.

ANIELA.

Proszę!

BRUNO.

Uporku dosyć, lecz to nie zawadzi,
Jak trafi swój na swego to sobie poradzi.
Świata dużo, kościoła, tyle co potrzeba,
Wie się o tem że posag dały dobre nieba,
Więc jest dumka poszustna, co wcale nie ganię,
Zatem z obrazu pani kończąc tych dwie liter,
Piszę się *vôtre serviteûr.*

kłania się.

A co? czy'm dosyć śmiały? przyznajcie że panie!
A teraz zobaczymy co tamten wystrzeli?

wołając Augusta.

August! chodź!

Bruno wpół obejmując nadchodzącego w te kółko Augusta.

Co zamyślasz o pannie Anieli?

AUGUST *zmieszany patrząc ciągle w oczy Anieli.*

Jakto? co? ja zamyślam?

BARONOWA *śmiejąc.*

Ha! bałamut przedni,
I w samem zapytaniu, mocno odpowiedni.

Stolik wistowy skończył grę, ruch, wszyscy nadchodzą do tego kółka rozmawiających. Baronowa do ministra.

Bruno dziś jest przedziwny!

BRUNO *błazenkując z mimika.*

Lecz my wiedzieć chcieli,
Nie to, czy pan zamyślasz o pannie Anieli;

śmiech powszechny.

Ale jak o niej myślisz? jak się panu patrzy?
Mówiac jak wy mówicie, no! smiało! raz, dwa, trzy...
Gadaj! goście słuchają.

ANIELA

postrzegłszy wzrok Augusta ciągle w nią wlepiony, z uczuciem obrażenia do Brunona.

Co pan robisz? proszę!
W domu ciotki i moim, taki żart....

AUGUST *nagle, odetchnął całą piersią, i pogodnie.*

Żart, znoszę
Kiedy tylko od pana Brunona pochodzi,
Nie daleko on sięga, i niewiele szkodzi.

ANIELA *z cicha doń*

Czyś pan myślał że... *zmieszana nie kończy.*

AUGUST *okiem w Anieli, a ręką wskazując Brunona.*

Właśnie pytał co myślałem
O pani. Kiedy z dziecka jej myśl zgadzwałem,
W porannym naszym schowku, i w wiejskiem ukryciu
Myślałem, że tak będziesz szczęsną w swojem życiu;
Że nieuczujesz bolu. Jam komara zganiał,
Motyla, co do ust twych, do róży się skłaniał,
Muchę natrętną, co tak nudziła swym brzękiem,
Nawet nieraz gawrona, co straszył swym stękiem.

Potem zeszłaś na salon, twój przyjaciel młody
Rad był że tobie pani! czystsze niebo błyśnie,
Aż i tutaj tak pełne jak nasze ogrody,
W komary i w motyle, i mucha przyciśnie,
Nawet gawron się zjawi...

BRUNO *junakując.*

A to prawda szczera,
Najdłużej deklamując dziób mocno roztwiera.

AUGUST.

O! bom roił, że salon, ten przybytek cnoty,
Krasi pęzel malarza, zdobi zbytek złoty
Na to, aby w tym schowku niewiasty moc władła
Czystą bronią skromności, i tę czystość kładła
Wstępującemu w salon; myślałem jak mało
Słów jest, coby w przybytku takim nie zmalało.
By przed obrazem świętych drzała mi pierś trwogą,
Duma mi z czoła ściekła, zawiść pchnąłem nogą,
Aby się niepowlokła za mną w te podwoje,
I młode'm myśli zdeptał, młode orły moje,
Aby się niewzbijały lotem zbyt zuchwałym!

Ha! com mniemał tak wielkiem, znalazłem tak małem!
Wierzaj panie Brunonie! próżna moja praca!
Nieraz szukam młodzieńca, znajduję pajaca,

patrząc mocno w niego.

Zamiast skromności zejdę się z czołem wytartem,

rzucając oczyma po wszystkich.

A wiecznie zamiast z człekiem, to się zdybie z...żartem.

ANIELA *chwytając go za rękę z przymileniem.*

Panie August?...

i t. d.

USTĘP CZWARTY.

O WYCHOWANIU KOBIETY JAKO MATKI.

O terazniejszym wychowaniu i jego niedokładności.

Młoda kobieta skoro w świat wkroczy, widzi na około siebie to wszystko co pochlebia jej próżności, a niemając dokładnego wyobrażenia o szczęściu, ten zgiełk co ją otacza niedozwala jej usłyszeć głosu rozumu i sumienia.

Od czasu Fenelona i Roussa rodzaj ludzki postąpił w oświacie, a wychowanie kobiet zyskało na tem. Już się o to nie sprzeczają czyli je nauczać trzeba i jaki stopień oświaty dla nich przystoi; już pozwalają na rozwinięcie władz ich umysłu; udzielają im talentów artysty i nauczyciela języków: one lekko przebiegają nauki encyklopedyczne; lecz w tych naukach nic nie wzywa je do myślenia własnemi myślami; tylko po prostu szkolne kajety wbijają się w ich pamięć; dla tego też gdy nadchodzą chwile namiętności, którym należałoby się opierać całą potęgą przywyknienia do cnoty, całą potęgą religijnych zasad, te chwile zastają ręce biegłe na fortepianie, pamięć gotową do przytoczeń i... duszę spiącą. Oto jest, z zbyt rzadkiemi wyjątkami, kobieta, taka jaką nam kształci dzisiejsz wychowanie, z jej drobiazgowemi dewociami, moralnością pensionarki, talentami mechanicznemi, miłością zabaw, zupełną niewiadomością życia i potrzebą kochać i być kochaną.

W prawdzie ta edukacia nie jest bez wszelkich korzyści; wprowadza ona do towarzystwa zamiłowanie i gust sztuki, więcej wdzięków, więcej oryginalności. Hrabianki i mieszczki, jeżeli są jeszcze u nas mieszczki i hrabianki, rywalizują w salonach z najpierwszemi talentami: jedne tworzą poemata, które się sprzedają na korzyść nieszczęśliwych, drugie pęzlem lub misterną igiełką w tymże samym pracują celu; wszystkie piszą z wdziękiem i poprawnie, a pióra Sewigne i Lafayette stały się prawie pospolitemi. Tym sposobem edukacia niweluje czyli równa wszystko w towarzystwie; jej jednostajność jest najpotężniejszą demokracią, i twierdzenie to, że talenta kobiet więcej zdziałały dla zrównania stopni towarzyskich jak wszystkie uchwały naszych narodowych zgromadzeń, żadnym nie jest sofizmatem.

Wejdź do którego z naszych najmodniejszych salonów: spojrzyj na ten tłum mężczyzn różnego wieku, w jednakowe prawie przybranych szaty; jeden jest bankierem, drugi hrabią, ten artystą, tamten urzędnikiem. Otoż pomimo jednostajności czarnej ich sukni przyznać musisz, iż w mowie ich, ułożeniu, znajduje się jakieś tajemne piętno, które ich różni i odznacza. Z kobietami dzieje się inaczej; patrząc na zgrabny ich układ, wdzięczne, nieprzymuszone obcowanie, mniemałbyś je równego stopnia i urodzenia; toż same ukształcenie, tenże sam wdzięk, taż sama miłość sztuk pięknych. Ani sposób rozeznać córek notariusza od córek ministra, kapitalisty lub jenerała. Widzisz to wdzięczne grono otaczające fortepian; wykonywa właśnie jedną z oper Rossyniego, z takąż samą pewnością i mocą, jak aktorowie włoscy. Jestto żona lekarza, żona para Francii, markizowa, młoda artystka, i córka agenta spraw. Nic je nie różni oprócz różnicy talentów. Rzuć teraz okiem na tę damę której ubior tak niewymyślny, a jednak tak elegancki, zwrócił na chwilę powszechną uwagę; jestto jedna z naszych najpowabniejszych xiężniczek. Widzisz jak mile uśmiecha się do tej młodej osoby, która przy niej usiadła! Dwie kobiety prawdziwie znakomite: xiężna jest sama mistrzynią swych dzieci, i autorką wielu pięknych powieści; młoda panienka jest poetką, jest piękną, druga Korynna naszego wieku; sława zastępuje jej tytuły! W tem świetnym zgromadzeniu, gdzie urodzenie, majątek tytuły razem są pomieszane, nie masz żadnej rażącej strony: piękność przyciąga, spojrzenie, talent naznacza miejsce; a wychowanie równa wszystko.

Gdyby życie kobiet zamykać się miało jedynie w festynach i pracowniach sztuk pięknych; gdyby jedynem ich przeznaczeniem było podobać się i błyszczeć, cel ten zostałby osiągnięty przez tę balową edukację; lecz chwile rozrywek i zabaw są krótkie, a po nich następują długie godziny rozwagi. Życie wewnętrzne, życie moralne, obowiązki matki, wszystko to następuje, a wszystko to właśnie zapomnianem było. Wtedy to nicość ogarnia nas wpośród rodziny, z namiętnościami romansowemi z exaltacią bez wędzidła, i nudą, ową potężną niszczycielką cnót kobiety. Jako konieczny skutek tego stanu rzeczy, narzekania, próżne narzekania, obijają się zewsząd o uszy nasze; jestto krzyk wszystkich matek, skargi wszystkich mężów; a w tych boleśnych zatargach, to najgorsze, że obojętność kończy wszystko.

Ciąg dalszy nastąpi.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI.

CZCIONKAMI PIOTRA PILLERA.